W WOLNEJ POLSCE

TYGODNIK WOJSKA POLSKIEGO NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

M. p. niedziela, 10 maja 1942 r. Rok III Nr. 17 (394)



Kaplica Srebrnych Dzwonów na Wawelu, pod którą mieści się krypta ze zwłokami ś. p. Marszałka JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

TREŚĆ NUMERU

Wydano nakładem Sekcji Oświaty i Kultury Dtwa. W. P. na Śr. Wschodzie. Adres Redakcji i Administracji: Polish Forces in Middle East Egypt — Cairo.

Drukarnia Azriel, Tel-Aviv, Raanan 22.

KU WOLNEJ POLSCE

TYGODNIK WOJSKA POLSKIEGO NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

M. p. niedziela, 10 maja 1942 r. Rok III Nr. 17 (394)

1935 • 12.V • 1942



PRZEŻYWAJĄC NA OBCZYŹNIE SIÓDMĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI TWÓRCY POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH I ICH ZWYCIĘSKIEGO WODZA W OKRESIE ODBUDOWY PAŃSTWOWOŚCI POLSKIEJ — PIERWSZEGO MARSZAŁKA POLSKI JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO — SKŁADAMY HOŁD JEGO NIEŚMIERTELNEJ PAMIĘCI, KTÓRA POZOSTANIE NIEWYCZERPANYM ŹRÓDŁEM NATCHNIENIA, WYTRWAŁOŚCI I MOCY DLA KAŻDEGO ŻOŁNIERZA POLSKIEGO W JEGO WALCE O WOLNĄ OJCZYZNĘ.

SPOTKANIE

Jedni szli z pustyni, gdzie prażyło ich bezlitosne słońce Afryki, spalały wiatry pustynne i siekł stalowy deszcz pocisków.

Drudzy szli poprzez lody arktyczne, śród nocy zimowej, która trwała miesiącami, i gdzie dręczyła ich gorsza od wszystkiego tęsknota za wolnością.

Szli ku sobie. I spotkali się.

Ci spod bieguna północnego, z Archangielskiej i z Komi, z Kazakstanów i Uzbekistanów, spotkali się z tymi z Libii i z Egiptu, spod Bardii, Tobruku i Gazali.

I jakiż głęboki symbol tkwi w tym, że ci rozdzieleni przez los Polacy, że ci żołnierze polscy połączyli się właśnie w dniu Trzeciego Maja, — w rocznicę tak pięknego święta narodowego, jakim nie może się pochwalić bodaj żaden z narodów!...

O tym właśnie mówił w dniu spotkania, przed Mszą św., Dowódca W.P.Ś.W., generał Zając:

ŻOŁNIERZE!

Dzisiejsze Święto 3-go Maja obchodzimy w szczególnych okolicznościach. Bo, oto stoicie dzisiaj w dniu Święta Narodowego naprzeciw siebie i spoglądacie sobie w oczy: Wy, żołnierze, którzy przeszliście twardą szkołę życia i utworzyliście oddziały polskie w Rosji Sowieckiej pod dowództwem Gen. Andersa i Wy, żołnierze Karpackiej Brygady, którzy pod dowództwem Gen. Kopańskiego w 10-cio miesięcznej kampanii w Pustyni Zachodniej nabraliście doświadczenia bojowego, potrzebnego do walki z dobrze przygotowanym odwiecznym wrogiem i wsławiliście imię żołnierza polskiego w bojach w Tobruku, pod Gazalą i Bardią.

Rozeszliśmy się w Ojczyźnie po kampanii we wrześniu i październiku r. 1939 w różnych kierunkach; niektórzy zostali w Ojczyźnie, niektórzy poszli do niewoli niemieckiej. Dzisiaj dokonuje się jedna z koncentracji sił polskich. I jedni i drudzy przemierzyliście tysiące kilometrów, szliście różnymi drogami, aby spotkać się tutaj w swej drodze do Polski.

I oto dzisiaj, w dniu 3 Maja, który tyle kryje wspomnień, z dalekiej naszej przeszłości i z tej bliskiej w wolnej Ojczyźnie, stoicie tutaj naprzeciw siebie i z radością i szczęściem spoglądacie w oczy swoich rodaków, pytając się, co jeden drugiemu przynosi. Jestem przekonany, że w tej chwili tylko najlepsze, najczystsze uczucia ożywiają nas wszystkich. Na pewno każdy z nas czynił w tej chwili postanowienia, że wszystko da z siebie, by wspólnie i w najlepszej harmonii pracować nad odbudowaniem siły zbrojnej. Na pewno każdy z nas chce wyrzec się swoich własnych ambicji, swoich własnych dążeń. Natchnienie do postanowień daje nam przykład tych, którzy tworzyli akt Konstytucji Trzeciego Maja, który jest aktem wyrzeczenia się prawa jednych w stosunku do drugich, natchnienie do takich postanowień daje nam także to wszystko, co każdy z nas przeszedł i przeżył po utracie Ojczyzny, natchnienie do tego wypływa z postawy, jaką pokazuje nasz kraj i rodacy nasi, walczący tam bez przerwy i w znacznie trudniejszych warunkach.

Żołnierze! Znajdujecie się w pobliżu miejsc najświętszych dla każdego serca chrześcijańskiego. Ten fakt, jak wiara w Boga, da nam wszystkim większą siłę do wprowadzenia w życie tych szlachetnych postanowień.

Dzień dzisiejszy wybrałem jako pierwszy dzień istnienia Dywizji Karpackiej, która powołana została do życia na podstawie decyzji Naczelnego Wodza i na której Dowódcę wyznaczony został wypróbowany w dowodzeniu i bojach Generał Kopański, dotychczasowy Dowódca Brygady. Dywizja ta będzie składała się z dawnej Brygady Karpackiej oraz wyznaczonych oddziałów wojsk przybyłych z Rosji. Jestem głęboko przekonany, że ten aliaż dwu różnych z pochodzenia, ale równie wartościowych elementów w rezultacie da dywizję o wielkiej sile bojowej oraz zwartą i solidarną tak w szkoleniu, jak i w boju jednostkę.

Kończąc, życzę wam żołnierze Karpackiej Dywizji, byście jak najprędzej osiągnęli gotowość bojową i byście jak najprędzej mogli walczyć z odwiecznym wrogiem o odzyskanie Ojczyzny. I jest to moje serdeczne życzenie zarówno z okazji powstania w dniu dzisiejszym Karpackiej Dywizji, jak też z powodu Święta Konstytucji 3-go Maja, jak też wreszcie i z tego powodu, że po przejściu tysięcy kilometrów spotkaliście się tutaj w drodze do Polski!

Na znak, że kochamy Ojczyznę i że chcemy ją znowu wyzwolić przez nasz trud żołnierski i naszą krew, wznieście razem ze mną okrzyk: Rzeczpospolita Polska, Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej i Naczelny Wódz, — niech żyją!

Żołnierze! Jesteśmy w sojuszu z Wielką Brytanią, która umożliwiła nam tworzenie armii do walki z Niemcami, która na każdym kroku pomaga nam w tworzeniu wojska, a ostatnio wszystkich środków użyła, by żołnierze z Rosji tutaj w jak najkrótszym czasie przybyli. Dzisiaj mamy wśród nas licznych jej przedstawicieli z Brygadierem Erlingtonem na czele. Na cześć Sojuszniczki naszej i Jej Głowy Państwa wznieśmy okrzyk: Jego Królewska Mość Jerzy VI, Król Wielkiej Brytanii — niech żyje!

Po Mszy Św. odbył się poranek, którym przybyłe z Rosji Sowieckiej oddziały powitały przybywającą z Libii Brygadę.

Serdecznymi słowy przemówił ppułk. P., dowódca jednego z pułków piechoty:

„Witajcie!

Od czasu, kiedy przejechaliśmy tak wielkie przestrzenie oraz przekroczyliśmy dzielące nas granice — przeżywamy szereg wzruszeń najwyższej klasy.

Pierwsze wzruszenie — to przekroczenie granicy perskiej.

Drugie wzruszenie — to wyjazd do Palestyny, a dla nas katolików — Ziemi Świętej.

Trzecie zaś wzruszenie — to spotkanie się z Wami, koledzy.

Nie myślcie sobie, że my o Was nie słyszeliśmy. Mimo kordony, mimo kraty, mimo niezmierzone przestrzenie — cudownym jakimś sposobem dochodziły do nas odgłosy walk i echa waszych strzałów — Was, oddziałów polskich, walczących na wszystkich krańcach świata o naszą Polskę i nowy ład.

Niejednokrotnie zazdrośni byliśmy o to właśnie — dlaczego WY A NIE MY!.. Myślę, że tę zazdrość nam wybaczycie.

Wśród tych ech — wśród tych odgłosów znalazły się również echa Waszych strzałów i Waszych walk tam na południu — na piaskach afrykańskich...“

„Chciałbym, aby nasze uczucia, które teraz przeżywamy, wyraziły się w przyszłości wspólnotą na naszym szlaku dziejowym i w czekających nas bojach...“

Imieniem żołnierzy Brygady Karpackiej przemówił jeden z jej młodszych oficerów, ppor. L.

Podkreśliwszy, iż wielkie cierpienia, jakie przeszli koledzy przybyli z Rosji w ciągu przeszło dwuletniej niewoli, nie zdołały załamać ich ducha, ducha polskiego, który jest niezłomny, — mówił:

„...dziś my, żołnierze Brygady Karpackiej, którzy mieliśmy już szczęście walczyć z wrogiem, i na polach bitewnych Tobruku, Gazali, Bardii, brać odwet za krzywdy, wyrządzone Ojczyźnie, witamy Was, jak braci najserdeczniejszych, sercom naszym najbliższych.

Wierzymy, że we wspólnym żołnierskim trudzie poniesiemy nasz sztandar zwycięski do wolnej, ukochanej Ojczyzny.“

Po odegraniu hymnu polskiego i angielskiego, odbył się koncert z udziałem orkiestry pod batutą st. strz. z c. M. R., chóru pułkowego oraz solistki, p. Weroniki Ignatowicz, — na który złożyły się liczne utwory muzyczne, wiersze, pieśni i piosenki, powstałe w Rosji Sowieckiej, lub po drodze z Rosji — z entuzjazmem przyjęte przez zebranych tłumnie żołnierzy.

Zawody sportowe, a wieczorem akademia ku czci 3-go Maja, zapełniły i zakończyły ten niezapomniany, historyczny dzień spotkania. *(X)*

J. M.

Pacyfizm który żywił wojnę

Wspólną cechą wszystkich kierunków pacyfistycznych jest fałszywie pojęty humanitaryzm. „Wojna jest barbarzyństwem, każda wojna jest kataklizmem, każda wojna jest nieszczęściem — unikać zatem należy każdej wojny za wszelką cenę“. Oto pogląd, który przewija się przez literaturę i film od książek Remarqua zacząwszy, a na francuskim filmie monumentalnym „Wielka Iluzja“ skończywszy. Nie wyłącznie agresja, niesprowokowana napaść — lecz wojna, jako taka i wszystko z nią związane, a więc zbrojenia, cnoty obywatela-żołnierza — wszystko to jest niehumanitarne i godne potępienia. Ów pacyfistyczny humanitaryzm nie rozróżnia słusznej, sprawiedliwej obrony od napaści i grabieży — wojny wyzwoleńczej od wojny imperialistycznej.

Pacyfiści szkoły Wellsa wierzą, że wychowaniem apatriotycznym możnaby wytworzyć typ człowieka, który czułby się obywatelem Europy, względnie nawet całego świata. Przywódca socjalistów francuskich i były premier z okresu Frontu Ludowego L. Blum głosił tezę absolutnego moralnego rozbrojenia. „Im większe niebezpieczeństwo — tym usilniej winniśmy się rozbrajać“ — nawoływał, sądząc, że w ten sposób Europa uniknie wojny. Coudenhove-Calergis dał nam koncepcję stanów zjednoczonych Europy na wzór unii północno-amerykańskiej, a szereg innych pacyfistów widziało zbawienie w zrewolucjonizowaniu Europy i nadaniu jej tą drogą uniwersalnego wyrazu.

Punktem wyjściowym tych wszystkich kierunków pacyfistycznych jest problem wojny. W ocenie i definicji tego zjawiska popełniano wiele błędów, bo przecież obiektywnie rzecz ujmując, nie ma „wojny“, tak jak nie ma „chorób“. Są natomiast ludzie chorzy, bywają również napadający i ich ofiary. Przyjmując ten bieg myśli za słuszny, dojść musimy do wniosku, że problem pacyfizmu w praktyce sprowadza się do zagadnienia bezpieczeństwa. Pierwszym

warunkiem przy organizowaniu jakiegokolwiek systemu bezpieczeństwa jest likwidacja tych, którzy temu bezpieczeństwu zagrażają t.j. napastników. I w tym miejscu rozpoczynają się trudności i ...projekty. A więc cały arsenał remediów od Ligi Narodów, paktów, umów, ograniczeń zbrojeń, policji międzynarodowej, międzynarodowego lotnictwa — poprzez rewolucję w wychowaniu człowieka, tępienie poczucia patriotycznego, wyrabianie w jednostce zrozumienia dla różnych typów uniwersalizmów, aż po kierunki anarchistyczne, które do dziś mają swoich zwolenników.

Faktem niezbitym, wynikającym z „realizmu rzeczy", jest pewnik, że najlepszym z wszystkich dotąd znanych środków zapewniających bezpieczeństwo jest własna siła, własna zdolność i możność odparcia ewentualnego uderzenia czy napaści. Z powyższym zagadnieniem łączy się drugie, a mianowicie, że nie każdy naród dysponuje dostatecznymi siłami, by mógł zapewnić sobie bezpieczeństwo. Zwolennicy racjonalizacji życia międzynarodowego wysuwają postulat kalkulacji, żądając aby zamiary mierzone były według sił, a nie odwrotnie. Idąc konsekwentnie po tej linii, doszlibyśmy do równowagi sił wyrażającej się w praktyce w panowaniu silniejszych nad słabszymi, co niemiecka szkoła biologiki rasowej uważa zresztą za jedynie słuszne i zgodne z „prawami natury"..

Główną i zasadniczą przeszkodą w realizowaniu problemów związanych z organizowaniem międzynarodowego bezpieczeństwa i racjonalizacją życia narodów jest fakt, że motorem działania mas ludzkich nie są wyłącznie motywy rozumowe — lecz często irracjonalne, uczuciowe. I dobrze, że tak właśnie jest, a nie inaczej. Zanik momentu emocjonalnego odbija się, jak uczy nas obserwacja, fatalnie na losach narodów. Społeczeństwa stojące na zbyt wysokim stopniu zracjonalizowanego życia, o dużej przewadze zmysłu krytycznego, jak np. Francuzi, nie są zdolne w momentach krytycznych wydobyć z siebie owego stanu uczuciowego, który nazwał ktoś „klimatem wojny" i w rezultacie załamują się i upadają. Wydaje się zatem, że zbytnie wyjaławianie uczucia prowadzi do zaniku zmysłu ofiary jednostki na rzecz ogółu, prowadzi do egoizmu i całkowitej komercjalizacji stosunku obywatela do państwa. Istnieje grupa pisarzy, która reprezentuje pogląd, że tak być powinno, że państwo w Europie przyszłości winno ograniczyć swą rolę do pewnych konkretnych świadczeń na rzecz obywatela płacącego taksę podatkową.

Czy oznaczałoby to krok naprzód na drodze postępu?

Poczucie solidarności, zmysłu ofiary jednostki na rzecz ogółu, miłość do ziemi rodzinnej, przywiązanie do tradycji i własnego stylu życia — wszystko to stanowi łańcuch wartości wrodzonych, przyniesionych na świat we krwi. Zastąpienie tych wartości wyłącznie miarą egoistyczno-materialnego interesu jednostki—nie tylko nie stanowi postępu, lecz jest cofnięciem się na drodze rozwoju etyczno-moralnego do stanu, gdy człowiek nie łączył się jeszcze w większe grupy. Odrzucając te wartości, nie stwarza się nowych. Czy ów człowiek, który nie chciał „umierać za Gdańsk" — a będąc Francuzem, nie chciał walczyć za Francję, podejmie jakąkolwiek ofiarę w imię Europy czy ludzkości? Na pewno nie!

Życie narodu nie jest grą niekontrolowanych impulsów, nie jest jednak również kalkulacją przemysłowca. Weźmy przykład nam najbliższy. We wrześniu 1939 r. zostaliśmy napadnięci przez wroga wielokrotnie od nas liczniejszego i możniejszego. Nasi sprzymierzeńcy nie byli gotowi do wojny. O tym wszystko wiedzieliśmy dokładnie. Cyfrowa kalkulacja sił, rachunek prawdopodobieństwa wygranej w każdym wypadku wypaść musiałby negatywnie. I cóż z tego — czy mieliśmy się poddać? Nie należy chować głowy w piasek, źle jest jednak, gdy rachunek silniejszy jest od woli życia, od instynktu obrony wolności i własnej ziemi. Obiektywna mowa cyfr odnosi się bowiem jedynie do świata nieorganicznego. O życiu — liczby nie mówią prawdy absolutnej.

***

Wydaje się rzeczą pewną, że propagowanie haseł, idei i tendencji obniżających morale narodów, wpływających na zanik ducha ofiarności — nie prowadzi do celu. W wielu wypadkach ułatwia tylko zadanie napastnikowi, osłabiając narody przesiąknięte ideami pacyfistycznymi. I w tym sensie zrozumiałym jest na pozór paradoksalne stwierdzenie Sir Roberta Vansittarta, że „pacyfiści spowodowali drugą wojnę światową." Oczywiście. Idea moralnego rozbrojenia, zaprzestanie wydatkowania koniecznych sum na potrzeby armii, propagowanie haseł skrajnie pacyfistycznych wytworzyło w sumie bajeczną koniunkturę dla napastnika. Gdyby bowiem po roku 1918 państwa zwycięskie nie weszły na drogę całkowitego niemal rozbrojenia, nie doszłoby do zajęcia Nadrenii, do Monachium, zajęcia Pragi i ...wojny. Hitler wiedząc, że zostanie natychmiast pobity o wiele większym lotnictwem niż jego „Luftwaffe", nie mógłby zaprodukować światu swego „Blitzkriegu". Nie ulega dziś również wątpliwości, że wszelkie pacyfistyczne kierunki w krajach Europy były silnie wspierane i zasilane przez Niemcy hitlerowskie.

Jakież stąd wypływają wnioski?

Wydaje się pewnym, że tak jak pragnąc uniknąć choroby, nikt nie będzie starał się osłabiać swego organizmu — tak i państwo, chcąc uniknąć napaści, starać się będzie wzmóc swe bezpieczeństwo na drodze zwiększenia i ulepszenia własnej siły obronnej. Doświadczenie drugiej wojny światowej uczy nas, że bezpieczeństwo międzynarodowe nie jest do osiągnięcia przez osłabianie moralnej i materialnej odporności państw i narodów europejskich, przez propagowanie haseł pacyfistycznych — jest to bowiem w praktyce jedynie ułatwianie napaści agresorowi. Całe zagadnienie należy odwrócić: nie tłómaczyć słabym, że w imię pokoju powszechnego mają być jeszcze słabsi, lecz przeciwnie żądać należy od mocnych, aby wyrzekli się idei napastniczej.

Pacyfizm z lat 1918/39 zbankrutował haniebnie! Osłabił słabych i dodał apetytu mocnym. Jest rzeczą jasną, że haseł pacyfistycznych najdogmatyczniej trzymali się ci, którzy wojen się bali najwięcej i za wszelką cenę pragnęli ich uniknąć. W Niemczech, mimo Remarqua i Osietzky'ego, pacyfizm nie doprowadził do niczego, nie przeszkodził potwornemu rozrostowi idei odwetu.

Jako jedynie realne wydaje się odrzucenie całej frazeologii pacyfistycznej wszystkich szkół z epoki 1918/39 i szukanie nowych form bezpieczeństwa międzynarodowego. Być może, że praktyczne rezultaty przyniesie koncepcja federalizmu — tak obecnie dyskutowana. Większe zespoły państw łatwiej będą mogły zapewnić obywatelowi bezpieczeństwo, niż to były w stanie uczynić miniaturowe państewka, jakich serie mieliśmy w Europie po-wersalskiej. Równocześnie z procesem federacyjnym, który można by nazwać likwidowaniem tworów predystynowanych na ofiary agresji — prowadzić należy wszelkimi dostępnymi środkami walkę z ideą napastniczą. Należy wzmacniać słabych, a mocnych oduczyć napastnictwa. Czołowym reprezentantem idei napastniczej w Europie od czasów najdawniejszych po dzień dzisiejszy są — Niemcy. Jeżeli w ogóle kiedykolwiek powiedzie się oduczyć naród ten od bandytyzmu międzynarodowego to na pewno dokonać tego będzie można tylko ogniem i żelazem.

Wojna obecna przekonała nas również, że wolność i pokój to nie są wartości, które możnaby kupić wyłącznie opłaconym podatkiem. Wartości te muszą być wywalczane co-dnia, we wspólnym wysiłku pracy, a nie rzadko okupywane ofiarą krwi i życia jednostki na rzecz narodu.

Jeszcze o czołgach

Przytaczamy za tyg. „Co słychać“ interesujący nietylko fachowców list profesora wydz. inżynierii Uniwersytetu w Cambridge W. E. Woodward'a w sprawie techniki masowej produkcji czołgów w W. Brytanii.

Niedawno lord Beaverbrook oświadczył, że potrzeba nam 30.000 czołgów. To duża ilość. Wielu z pośród nas zastanawiało się, czy zdołamy ją wyprodukować. Tymczasem prezydent Roosevelt obiecał Stanom Zjednoczonym 45.000 czołgów w roku obecnym, a 75.000 czołgów w przyszłym roku. Co więcej, kilka dni temu oświadczono prasie amerykańskiej, że w roku obecnym 75 procent wyprodukowanych czołgów amerykańskich będzie spawanych. Trzeba może się zastanowić, czy w W. Brytanii zastosowano wszystkie zastosowanie produkcji masowej. Dlatego, jak przypuszczam, Amerykanie przeszli na konstrukcję spawaną, która właśnie nadaje się do budowy wielkich serii. Zresztą Amerykę wyprzedzili w tym kierunku Niemcy, którzy czołgi swe spawali już oddawna. Czołg spawany jest zawsze lżejszy od czołgu nitowanego wskutek tego, że odpadają zupełnie ramy, do których się płyty przynitowuje. Jest dostatecznie odporny, a z punktu widzenia producenta ma cały szereg cech dodatnich. Przede wszystkim odpada konieczność drobiazgowego dostosowywania i przestrzegania tolerancji samych płyt pancernych i wewnętrznego szkieletu, unika się niepotrzebnej robocizny na wykonanie całych tysięcy otworów na nity, które potem trzeba nitami zapełnić.

Z kolei pozwala to na wykorzystanie istniejących fabryk



Czołg polski w Szkocji

nowoczesne środki, aby potrzebną liczbę 30.000 czołgów osiągnąć w jak najkrótszym czasie.

Większość naszych cięższych czołgów jest nitowana, t.zn. płyty pancerne, które w ostatecznej swojej formie są tak twarde, że nie dadzą się już obrabiać, przymocowywane są za pomocą nitów do ramy, do szkieletu. Twardość płyt pancernych powoduje, że cała obróbka i wiercenie otworów dla nitów musi być dokonane przed ostatecznym utwardzeniem pancerza. Robota musi być wykonywana bardzo starannie, dopuszczane są minimalne tolerancje, zaledwie na tysiączne centymetra, gdyż w przeciwnym razie pociski, a raczej ich odpryski, mogłyby przedostać się do wnętrza i ranić załogę czołgu. Te czynniki powodują, że budowa czołgów wymaga bardzo dobrze wyszkolonej załogi i doskonałych specjalistów. To znowu raczej utrudnia nitów do innych zamówień wojskowych. Następnie spawanie pozwala na przyśpieszenie dostawy płyt pancernych, które siłą faktu wymagają mniejszej obróbki mechanicznej wobec tego, że nie muszą być tak dokładnie jak przy czołgach nitowanych dopasowywane do siebie. Spaw wyrównuje bowiem niedokładności i zapełnia całkowicie luz między płytami.

W akcji bojowej spawanie przynosi dodatkową korzyść, oto czołgi uszkodzone znacznie łatwiej można naprawić przez przyspawywanie odpowiedniej części płyty i to nawet w warsztacie polowym, natomiast przy czołgach nitowanych odjęcie płyty może być wykonane tylko w większym warsztacie i płyta zastępcza musi mieć dokładnie te same wymiary. Przy czołgu spawanym można część płyty uszkodzonej wykroić płomieniem i przyspawać inną. Generał

Rommel — jak stwierdzono oficjalnie — zdołał swoje czołgi uszkodzone w akcji naprawiać znacznie prędzej niż nasze oddziały. Stwierdził to sam premier Churchill. Wiadomo zaś, że Niemcy używali w swoich oddziałach libijskich czołgów spawanych, a warsztaty polowe mogły łatwo wykonać wszystkie roboty.

Wniosek stąd prosty: trzeba metody stosowane przy naprawie zastosować także i do konstrukcji, do budowy czołgów. Innymi słowami, jeżeli można czołg uszkodzony naprawić za pomocą spawania, dlaczego nie konstruować go jako spawany.

List obecny nie ma charakteru technicznego. Jest umyślnie napisany raczej językiem popularnym. Jednakże treść tego listu opiera się na doświadczeniach, które jego autor zdołał dzięki poparciu Uniwersytetu w Cambridge porobić podczas praktyki w fabrykach wojennych. Autor stwierdza z całą świadomością, że chociaż w teorii istnieją poważne rozbieżności co do zapatrywań na spawanie i cięcie płomieniem płyty pancernej, to jednak w praktyce nie ma istotnych przyczyn, któreby przemawiały przeciwko zastosowaniu spawania do budowy wozów bojowych. Trzy lata doświadczeń konstrukcyjnych wykazały, że można spawać czołgi bez najmniejszego uszczerbku dla ich wartości bojowej i odporności.

Inspekcja ks. Gloucesteru w oddziałach W. P. Ś. W.

W dniu 23 kwietnia 1942 r. J. K. W. ks. Gloucesteru, brat króla W. Brytanii Jerzego VI, odwiedził Brygadę Karpacką i oddziały C.W.B.S. O godz. 16.45 rozbrzmiały hymny brytyjski i polski, po czym raport w języku angielskim złożył d-ca C.W.B.S. płk. Ł. Po powitaniu się z płk. Ł. ks. Gloucesteru przeszedł przed frontem oddziałów Brygady Karpackiej, Szkół Podchorążych i t. d. Towarzyszyła mu świta angielska w osobach d-cy wojsk brytyjskich i sprzymierzonych w Egip-

(Ciąg dalszy na str. 9)



JERZY KIJEWSKI

NASZYMI DROGAMI - PRZEZ SAHARĘ

(*Ciąg dalszy*)

Początek niniejszego opowiadania drukowany był w n-ch 6-20 dwutygodnika „Nasze Drogi“ i w n-rze 10 tygodnika „Ku Wolnej Polsce“ z 1941 r. Autor opowiadania w towarzystwie żony i kilku osób, trzema samochodami wydostał się w czerwcu 1940 r. z Francji, po czym przez Hiszpanię, Ceutę, Maroko Hiszpańskie i Francuskie, przez piaski Sahary i puszcze Nigerii, po licznych przygodach przybywa w pobliże angielskiej kolonii Nigeria. Podróżni wyjechali właśnie z miejscowości Gaya, znajdującej się w rękach władz rządu Vichy i usiłują osiągnąć położone o 20 km. miasteczko Kamba, leżące już po stronie angielskiej. Po drodze spotkała ich straszliwa tropikalna ulewa.

Wszystko to trwało zaledwie kilkanaście minut i po chwili znowu słońce wyjrzało i zaczęło prażyć niemiłosiernie. Woda deszczowa szybko parowała, w powietrzu unosił się specyficzny zapach mokrej ziemi i zgnilizny. Nieoczekiwana ta przygoda bynajmniej nam nie pomogła w naszej jeździe. Ulewa wcale nie odświeżyła powietrza, było znowu duszno i parno, jak poprzednio.

Jechaliśmy tak już parę godzin, nie wiedząc zupełnie, gdzie się znajdujemy i czy posuwamy się we właściwym kierunku. Zawrócić było niepodobna, gdyż jak wytłómaczyć majorowi w Gaya cel wycieczki w głąb dżungli. A w ogóle, czyby nam sił starczyło, aby powrócić przez tę drogę, gdzieśmy musieli przezwyciężyć tyle trudności, aby przeprowadzić nasze samochody. Perspektywa przepędzenia nocy w dżungli była również nie bardzo wesoła, w wozach mieliśmy już pełno komarów i mrówek, które oczekiwały tylko zapadnięcia zmroku, aby przypuścić na nas nieubłagany atak, nie licząc już innych mieszkańców dżungli, którzy, być może, również chętnie chcieliby się nami pożywić. Robiłem sobie gorzkie wyrzuty, że uległem namowom majora M., gdyż uważałem obecną sytuację naszą prawie że za tragiczną.

Byliśmy poprostu zrozpaczeni i energia zaczęła nas opuszczać, gdyśmy nagle wyjechali na niewielką polanę, pośrodku której stało parę chatek słomianych. Wysiedliśmy szybko z samochodów, chcąc dowiedzieć się, gdzie się znajdujemy, ale murzyni już nas spostrzegli i chyłkiem uciekali w głąb lasu, tak, że w mgnieniu oka cała wieś opustoszała. Kręciliśmy się bezradnie po wsi, gdy nagle za jedną chatą ujrzeliśmy bardzo starego murzyna. Stał nieruchomo, oburącz oparłszy się na łuku, miał na sobie tylko naszyjnik z białych kłów dzika i wąską skórzaną przepaskę na biodrach. Był widocznie za stary, aby móc uciekać. Pomarszczona jego twarz, jak upieczone jabłko, zastygła w wyrazie śmiertelnego przerażenia.

W paru susach byliśmy przy nim.

— La route vers Kamba! — zaczęliśmy wołać pośpiesznie po francusku.

Murzyn zamienił się w słup soli.

cie gen. Stone i d-cy obszaru Aleksandrii brygadiera B. oraz świta polska. Ks. Gloucesteru, który posiada stopień generała, serdecznie rozmawiał z dowódcami polskimi, po czym nastąpił odjazd po odegraniu hymnów narodowych i sprezentowaniu broni przez zebrane oddziały polskie.

WIZYTA NACZELNEGO DOWÓDCY WOJSK GRECKICH W C.W.B.S.

W piątek dnia 24 kwietnia 1942 r. naczelny dowódca wojsk greckich gen. por. Tsanakakis w towarzystwie kilku generałów oraz innych wyższych oficerów greckich odwiedził C.W.B.S.

Przyjazd gości greckich nastąpił o godz. 11-ej przed południem. Przy dźwiękach hymnów narodowych polskiego i greckiego gen. Tsanakakis przeszedł przed frontem kompanii honorowej S.B.S.K. i przyjął raport, po czym nastąpiło zapoznanie się gości z oficerami polskimi, których przedstawiał d-ca C.W.B.S. płk. Ł. Ze strony d-twa Brygady Karpackiej obecny był zastępca d-cy płk. P. oraz szef sztabu brygady płk. Z. Z kolei goście greccy zapoznali się z wyszkoleniem w C.W.B.S., wzięli udział w wykładach i pokazach ćwiczeń różnych rodzajów broni w C.W.B.S., zwiedzając szkoły podchorążych poszczególnych rodzajów broni. Wizyta zakończyła się o godz. 17-ej, po czym odbyło się w Aleksandrii przyjęcie wydane przez d-two C.W.B.S. na cześć gości greckich.

GEN. AUCHINLECK DO GEN. SIKORSKIEGO I GEN. ZAJĄCA

Naczelny dowódca wojsk brytyjskich na Środkowym Wschodzie gen. Auchinleck przesłał Naczelnemu Wodzowi gen. W. Sikorskiemu oraz Dowódcy Wojsk Polskich na Środkowym Wschodzie gen. J. Zającowi depeszę następującej treści:

„W związku z obchodem uroczystości polskiego Święta Narodowego, gdziekolwiek Polacy obchodzić będą rocznicę pierwszej polskiej Konstytucji, przesyłam Panu w imieniu żołnierzy wszystkich stopni armii brytyjskiej i sił dominialnych na Środkowym Wschodzie życzenia. My, którzy byliśmy świadkami odwagi i brawury polskich oddziałów na Pustyni Zachodniej, nie mamy wątpliwości, że Polska ponownie odzyska swoją wolność. Wierzę, iż zbliża się dzień, w którym Polacy będą obchodzić swe Święto Narodowe we własnym odzyskanym kraju.

(—) *Gen. Auchinleck*"

OTWARCIE POLSKICH SZKÓŁ PODCHORĄŻYCH REZERWY

W niedzielę dnia 19 kwietnia 1942 r. odbyło się „gdzieś w pustyni", przy udziale licznego grona oficerów angielskich z brygadierem S. oraz oficerów polskich z płk. Ł. i płk. P. na czele, otwarcie polskich szkół podchorążych.

Uroczystość rozpoczęła się raportem, który komendant szkół podchorążych ppłk. dypl. Z. złożył zastępującemu D-cę W.P.Ś.W. płk. Ł. Po nabożeństwie odprawionym przez kapelana szkół podchorążych ks. Cz., płk. Ł. w imieniu D-cy W.P. na Śr. W. gen. Zająca i D-cy S.B.S.K. gen. Kopańskiego ogłosił otwarcie szkół. W żołnierskim przemówieniu podkreślił wyjątkowe znaczenie faktu otwarcia szkół podchorążych na ziemi afrykańskiej oraz zwrócił uwagę na obowiązki, jakie czekają w przyszłości tych, którzy szkoły ukończą. Na zakończenie uroczystości płk. Ł. przyjął defiladę oddziałów szkolnych przy dźwiękach „Warszawianki".

OBCHÓD ŚWIĘTA NARODOWEGO W OŚRODKU ZAPAS. W. P. Ś. W.

W m.p. Ośrodka Zapasowego WPŚW. uroczystość Święta Narodowego zaczęła się od Mszy św., w czasie której śpiewał chór żołnierski O. Z. Po nabożeństwie D-ca O. Z. gen. Kordian Zamorski wygłosił przemówienie, podnosząc nieprzemijające znaczenie Konstytucji 3 Maja w dziejach naszego narodu. Wieczorem odbyła się akademia w obecności władz Ośrodka, gości z sąsiednich jednostek W. P. oraz całego garnizonu. Na program złożyły się obrazy alegoryczne i część wokalna. Szczególnie oklaskiwano gościnnie występującą doskonałą orkiestrę jednego z pułków piechoty, pod batutą st. strz. z c. M. R., i sympatyczną śpiewaczkę p. Ignatowicz, obdarzoną miłym głosem sopranowym oraz chór Ośrodka.

— Kamba... Kamba... mówiliśmy dobitnie, jak najłagodniejszym głosem.

— Kamba, Kamba, powtórzył szybko i bezmyślnie murzyn, rzucając spojrzenia z ukosa, jakby szukając drogi do ucieczki.

— The way to Kamba, rzuciliśmy błagalnym głosem, po angielsku.

Murzyn bystro spojrzał na nas i twarz mu się jakby nagle ożywiła.

— O yes, Kamba, rzekł powoli, wskazując nieokreślonym ruchem na puszczę przed nami. Nagle, odstąpił parę kroków, wzniósł prawą pięść do góry i potrząsnął nią szybkim ruchem ręki, poczem schylił głowę. Był to pokłon murzynów plemienia Hausa, prowincji Sokoto, angielskiej kolonii Nigeria.

Nogi ugięły się pod nami ze wzruszenia, byliśmy już po tamtej stronie granicy.

— Witam państwa na angielskiej ziemi, zawołał major M. triumfująco, odzyskując dobry humor.

Nic więcej z murzyna nie mogliśmy wydobyć. Szybko wróciliśmy do naszych samochodów i jechaliśmy teraz po korzeniach i wertepach „na złamanie karku", aby jeszcze przed nocą zdążyć do Kamby. Wszystko nam już jedno było, czy wozy nasze się połamią, wszak byliśmy już u Anglików.

Nagle usłyszeliśmy wokoło nas, ze wszystkich stron, złowrogie dudnienie „tam-tam'ów". Droga stała się szerszą i lepszą. Wtem wypadł na drogę przed nami, na wspaniałym czarnym koniu, murzyn w czerwonym płaszczu i granatowym turbanie, konia osadził na miejscu, tak, że stanął dęba. Wydał przeciągły okrzyk, po czym zawrócił i znikł w puszczy.

Ale oto las zaczął rzednąć. Z poza ostatnich drzew ujrzeliśmy setki małych, okrągłych, dymiących lepianek. Dojeżdżaliśmy do Kamby. Niesamowity wrzask wstrząsnął powietrzem i tłumy murzynów wyskoczyły ku nam z zarośli.

Wśród nieopisanej wrzawy, otoczeni biegnącymi dokoła nas murzynami i poprzedzani czerwonym jeźdźcem, wjechaliśmy w środek miasteczka na rozległy dziedziniec.

W głębi stał dość wysoki dom murowany, upiększony rzeźbami i malowidłami, w stronę któregośmy się kierowali. Przed budynkiem, w otoczeniu świty, stał murzyn ogromnego wzrostu, w białej fałdzistej szacie, coś w rodzaju rzymskiej togi, w ciemno-fioletowym krochmalonym turbanie na głowie, związanym w wielką kokardę na boku, cały dół twarzy był zasłonięty lekką jedwabną chustką.

Ruchem ręki, pełnym godności uspokoił nagle rozkrzyczaną tłuszczę. Wzniósł prawą pięść w górę, potrząsnął nią szybko na powitanie, poczem przyłożył dłoń do piersi i lekko skłonił głowę.

— British officer... chcemy zobaczyć się z angielskim oficerem, zwróciliśmy się do niego w naszej niepewnej angielszczyźnie.

Ale murzyn widocznie po angielsku nie rozumiał, gdyż wskazał palcem na siebie i rzekł:

— Hausa.

Melodie Perskie

Pobudka. Wcześnie. Tak, jak to w wojsku.
I nagle słyszysz, że kogut już pieje.
I aż dusza z radości się śmieje,
Że perski kogut ci pieje po polsku.

Wstałeś. Pan kapral rugnie cię pewnie,
Boś w pół sekundy nie gotów, mazgaju.
Wychodzisz. I znów uśmiechasz się rzewnie,
Bo perskie zorze tak wstają, jak w kraju.

I srebrne drzewa, strzelające w chmury,
Jak nasze brzozy. I amfiteatrem
Ciemnoróżowym wznoszące się góry.
Takich nie mamy. Lecz ja wolę Tatry.

Tak wszędzie, kędy skierujem, koledzy,
Wzrok swój, dziwów zamorskich spragniony,
Swoje rodzinne spotykamy strony —
Zieleń łąk naszych i nić naszej miedzy.

ANATOL STERN

Wiersz o Tobruku

Paść i nie ulec, choć pobity — natrzeć.
Karabin podnieść i nabić go znowu.
I szukać wrogów wolą i rozpaczą
W górze, na morzu, po fiordach i rowach.

I być jak arka w brunatnym potopie,
Cichą przystanią dla wolnych i dobrych.
W burzy piaskowej trwać i celu dopiąć —
To takie trudne, lecz to znaczy Tobruk.

BOLESŁAW KOBRZYŃSKI.

Zaczęliśmy na migi tłómaczyć mu, o co nam chodzi, ale bez skutku. Murzyn mówił do nas w jakimś niezrozumiałym dla nas języku. Wreszcie skinął na nas, abyśmy poszli z nim i skierował się do następnej budowli.

Weszliśmy do przestronnej izby, w której znajdował się stół i dwa krzesła, na ścianie nad stołem wisiał portret króla angielskiego, w koronacyjnym stroju. Wizerunek ten trochę nas uspokoił i dodał nam otuchy. Murzyn z godnością stanął za stołem i spojrzał na nas pytającym wzrokiem.

— British officer, zaczęliśmy nalegać.

Murzyn pokiwał przecząco głową i wskazał na siebie.

— British officer... Argungu... Birninkebi, rzekł do nas po chwili.

Były to nazwy miejscowości, położonych o paręset kilometrów w głębi kraju, któreśmy znali z mapy.

Nagle, na dworze dał się słyszeć przeciągły krzyk, który miał w sobie coś z groźnego rozkazu i ponurego zawodzenia.

Murzyn pośpiesznie wyszedł z izby, pozostaliśmy sami...

Złowrogi krzyk powtórzył się znowu i na dworze wszczęło się jakieś zamieszanie. Usłyszeliśmy tupot gołych stóp biegnących murzynów, po chwili grobowa cisza zaległa.

Jakieś niemiłe wrażenie nas ogarnęło, z niepokojem spojrzeliśmy po sobie. Wyszliśmy z domu, aby zobaczyć, co się stało.

Słońce już miało się ku zachodowi i jego ogromna czerwona tarcza zawisła nisko nad czarnym murem dżungli. Cały wielki plac targowy zapełniony był tłumem klęczących murzynów, którzy, huśtając się rytmicznie, jakby na komendę, czołem dotykali ziemi. Na tarasie największego budynku stał tyłem do zachodzącego słońca murzyn w białej szacie, wzniósłszy ręce do góry i wpatrzony w ciemniejące już niebo.

— La, il-allaah, allaah!!! dał się słyszeć jego krzyk przeciągły, rzucając jakby groźbę i wyzwanie.

— Mohamed rasul allah... odpowiedział tłum szeptem, przechodzącym w głuchy pomruk.

Czym prędzej weszliśmy z powrotem do izby, aby widokiem naszym nie drażnić fanatycznych uczuć religijnych murzynów.

Czekaliśmy kilkanaście minut na ukończenie modlitwy.

Murzyni ci są mahometanami, pomyślałem sobie. Modlą się po arabsku, można więc będzie w tym języku może porozumieć się z nimi. Arabskim władałem trochę i, gdy nasz murzyn powrócił, przewidywania mnie nie zawiodły i mogłem z nim obecnie jako tako się porozumieć.

Okazało się, że ani w Kambie, ani w promieniu paruset kilometrów, nie ma ani jednego Europejczyka. O kilkadziesiąt kilometrów znajdowała się miejscowość Bunza, gdzie promem trzeba było przeprawić się przez rzekę. Za rzeką miała być już droga samochodowa, która prowadziła do odległej o paręset kilometrów stolicy prowincji, miasta Sokoto, gdzie byli już Anglicy. Droga do Bunzy miała być bardzo kiepska, ale znacznie lepsza od tej, którąśmy od granicy francuskiej przebyli.

(*C. d. n.*)

D. I.

Madagaskarska Uwertura

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Zamiast oczekiwanych niecierpliwie „wielkich wydarzeń“ na froncie niemiecko-rosyjskim, nadeszły wiadomości o wylądowaniu wojsk brytyjskich na Madagaskarze. Zapowiadane bombastycznie przez mocarstwa „osi“ na wiosnę 1942 r. „dramatyczne“ wypadki rozpoczęły się zatem od akcji zaczepnej sprzymierzonych.

Okupacja Madagaskaru, mimo, że decyzja w tej sprawie wypływała logicznie z rozwoju wydarzeń, jest jeszcze jednym dowodem, iż inicjatywa polityczno-wojenna przestała już być monopolem państw napastniczych.

Dwa fakty przyśpieszyły niewątpliwie akcję w tej sprawie. Z jednej strony dojście we Francji do władzy Lavala, wytworzyło uzasadnione obawy, że współpraca Vichy z Niemcami stanie się jeszcze ściślejsza i wyrazi się m.in. w odstąpieniu mocarstwom „osi“ szeregu baz i punktów strategicznych, jakie Francja posiada w różnych częściach świata. Wydanie swego czasu przez Vichy kolonii francuskiej Indochin w ręce Japonii mogło stać się groźnym precedensem w odniesieniu do Madagaskaru, którego wyjątkowe położenie strategiczne u brzegów Afryki i wrót do Oceanu Indyjskiego oraz na Środkowy Wschód nęciło już od dawna sztab tokijski.

Z drugiej strony dalsze sukcesy Japończyków w Burmie, opanowanie przez nich, niestety przed nadejściem pory deszczowej, Mandalay i Laszio oraz całej już drogi burmańskiej, dało im podstawy do przygotowania dalszej ofensywy na Indie oraz Ocean Indyjski. Plan spotkania się wojsk niemieckich i japońskich gdzieś na Śr. Wschodzie, nad Zatoką Perską, w Iranie lub w Indiach, nie jest fantazją. Gigantyczny ten projekt niewątpliwie istnieje w szaleńczych mózgach kierowników Trzeciej Rzeszy i Japonii. Jest to nawet w ich mniemaniu jedyny może sposób ugodzenia w najbardziej żywotne punkty Imperium Brytyjskiego, bezpośrednie bowiem uderzenie na Anglię okazało się niewykonalne. Obsadzenie przez Japończyków Madagaskaru ułatwiło by znakomicie przeprowadzenie tych rozległych pomysłów strategicznych „osi“. Lotnictwo japońskie znalazło by idealną wówczas bazę do uderzeń na tyły brytyjskie, zarówno na Śr. Wschodzie, jak i w Indiach. Ponadto desant z Madagaskaru na brzegi Afryki i rozbicie nieprzerwanej serii posiadłości brytyjskich, wiążącej Kair z Kapsztadtem, było by wówczas stosunkowo łatwe do przeprowadzenia, dzięki ewentualnemu wykorzystaniu pobliskiej, bezbronnej kolonii portugalskiej — Mozambiku.

Rząd angielski, działając w imieniu wszystkich sprzymierzonych, uprzedził te wydarzenia i wysadził swe wojska na wyspie. Rząd St. Zjedn. A.P. poparł krok W. Brytanii, uprzedzając rząd w Vichy, że wszczęcie przez niego w związku z tym kroków wojennych przeciwko Anglii było by uważane w Ameryce za akt wrogi wymierzony przeciw wszystkim sprzymierzonym, a więc i przeciw Stanom Zjednoczonym.

Już zresztą poprzednio prez. Roosevelt w mowie z dnia 29 kwietnia b.r. wyraźnie oświadczył, że St. Zjedn. nie będą tolerowały, by jakiekolwiek posiadłości Francji służyły celom wojennym „osi“. Przestrzeganie tej zasady stało się też warunkiem utrzymania na razie stosunków dyplomatycznych między Waszyngtonem i Vichy.

Rok temu mocarstwa sprzymierzone były zmuszone przedsięwziąć podobną akcję w stosunku do Syrii, której zajęcie wyrównało i znakomicie wzmocniło pozycję aliantów na Śr. Wschodzie. Dziś, usuwany jest inny niebezpieczny klin, który wrzynał się w pozycje brytyjskie wzdłuż wschodniej Afryki. Zajęcie doskonałych baz morskich i lotniczych na Madagaskarze daje sojusznikom poważne możliwości bądź na wypadek odpierania dalszych uderzeń japońskich na zachód, bądź też w razie próby parcia niemieckiego na Śr. Wschód.

Tymczasem jednak jesteśmy już w połowie wiosny kalendarzowej, a do zapowiadanej ofensywy niemieckiej nie dochodzi. Coprawda w Salzburgu odbyło się spotkanie Hitlera z Mussolinim, a tego rodzaju zjazdy są zazwyczaj zapowiedzią poważnych wydarzeń, komunikaty wszakże wydane na temat rozmów obu dyktatorów nic oczywiście nie mówiły, nie wyjaśniły nawet, czy ambasador Japonii, która, jak wiadomo, wojny z Rosją nie prowadzi, uczestniczył w tej naradzie. W dalszym jednak ciągu utrzymuje się przekonanie, że natarcie nastąpi na wschodzie, choć może ograniczy się do południowego odcinka frontu sowieckiego.

W roku zeszłym uderzenie na Rosję musiało być odroczone na koniec czerwca ze względu na nieoczekiwaną dla Niemiec kampanię na Bałkanach, zbrojny opór Jugosławii, Grecji i ciężką walkę o Kretę. Kampania ta zajęła wiele cennego czasu i pochłonęła sporo sił niemieckich. Ofensywę na Moskwę musiano odroczyć o 6 tygodni, a utraconego czasu nie zdołano już odzyskać w walce z Rosją. Przeciwnie, właśnie tych brakujących 6 tygodni zadecydowało zapewne o nie zakończeniu kampanii niemieckiej w Rosji w roku zeszłym i o dalszych niepowodzeniach Hitlera na tamtym terenie.

Można by więc przypuszczać, że po takim doświadczeniu Niemcy będą usiłowały uderzyć tym razem na Rosję możliwie najwcześniej. Jeżeli tego nie uczyniły dotychczas, przyczyny musiały być poważne.

Po pierwsze więc uderzenie na Rosję jest obecnie trudniejsze, nie tylko ze względu na ilościowe i jakościowe straty, jakie Niemcy poniosły w roku zeszłym, ale również z powodu komplikacji, związanych z organizowaniem etapów i linii łączności na tak rozległym i oddalonym froncie.

A po drugie, Hitler nie może być dziś pewien, czy w razie zaangażowania się całkowitego w Rosji, nie runie w pewnej chwili na niego cały potencjał anglo-amerykański na zachodzie, bądź też, czy nie pęknie front wewnętrzny w samej Rzeszy. Pierwsze jaskółki o niepomyślnych nastrojach w Niemczech — ujawnione w mowie Hitlera — są bardzo symptomatyczne. Z dalszych wiadomości wynika, że „urzędnicy i sędziowie“ odegrali w mowie Hitlera rolę kozłów ofiarnych i posłużyli za pretekst do rozciągnięcia surowych przepisów o przymusie pracy pod terrorem na całą warstwę pracowniczą, od której wymaga się dziś wysiłku ponad ludzką miarę, by utrzymać i rozszerzyć dotychczasowe zdobycze. Również z Włoch nadeszły wiadomości o nieporozumieniach między dynastią i Mussolinim, o wysuwaniu przez króla marszałka Badoglio, który uchodzi za wroga Mussoliniego, o aresztowaniach wśród partii faszystowskiej itd. Nie wiadomo, ile jest prawdy w tych doniesieniach. Nie ulega wątpliwości, że w miarę, jak przedłuża się wojna, która przyniosła Włochom same rozczarowania, wzrastać tam będzie niezadowolenie i zaniepokojenie.

Jeszcze bodaj większe niebezpieczeństwa grożą potencjalnie Hitlerowi od strony zachodu. Ofensywa R.A.F. na Niemcy trwa, jako przedsmak większych jeszcze uderzeń

lotniczych, do których przygotowuje się również lotnictwo amerykańskie. Niemcy próbowali reagować na coraz bardziej dotkliwe bombardowania nalotami odwetowymi na mniejsze i słabiej bronione miasta angielskie, znane nietyle z przemysłu, co ze słynnych dzieł sztuki i różnych zabytków. Niemcy sądzili, że niszcząc katedry i starożytne gmachy, skłonią Anglików, znanych z przywiązania do swych historycznych budowli, do zaniedbania nalotów na Rzeszę.

Mowa brytyjskiego ministra spraw wewnętrznych Morrisona rozwiała nadzieje Berlina. Minister przypomniał, z jakim zadowoleniem Niemcy burzyli historyczne gmachy Warszawy, Rotterdamu, Białogrodu i Londynu i jak chełpili się publicznie wyrządzonymi tam barbarzyńskimi szkodami. Dziś, gdy karta odwraca się przeciw nim, nie mają oni żadnego tytułu moralnego do uskarżania się. Porozumiewanie się z Hitlerem, co do unikania bombardowań zabytków, jest bezcelowe, wobec dowiedzionego wielokrotnie już jego wiarołomstwa. Lotnicy angielscy nie mają zresztą za zadanie burzenia zabytków. Jeżeli się to dzieje, winę ponoszą Niemcy, którzy wojnę wywołali. Najlepszym zresztą sposobem uniknięcia spustoszeń jest jak najszybsze osiągnięcie zwycięstwa.

Ofensywa R.A.F. będzie trwała, a prezydent Roosevelt zapowiedział w mowie z 29 kwietnia b.r. bliski udział amerykańskich „latających fortec" w uderzeniach na Niemcy. Przemówienie prezydenta St. Zjednoczonych podkreślało poza tym totalny wysiłek zbrojny Ameryki w tej wojnie oraz udział sił zbrojnych St. Zjednoczonych na wszystkich już niemal teatrach wojny. Prezydent ujawnił między innymi obecność okrętów wojennych na Morzu Śródziemnym oraz oddziałów lądowych na Bliskim Wschodzie i na różnych wyspach Pacyfiku.

Gospodarka St. Zjedn. A.P. przekształca się stopniowo na wojenną. Prezydent zażądał od Kongresu uchwalenia mu specjalnych pełnomocnictw w sprawie podniesienia podatków, ograniczenia dochodów indywidualnych (maksymalnie do 24 tys. dol. rocznie), stabilizacji cen i płac oraz obniżenia stopy życiowej obywateli amerykańskich. Połowa dochodu społecznego w Ameryce zamiast 1/5, będzie przeznaczona na cele wojenne. Rocznie wyraża się to już w sumie 185 miliardów dolarów — po dodaniu nowego kredytu na sumę 35 miliardów dolarów, — które przeznaczone będą na wytworzenie samolotów bojowych i zaopatrzenie czteromilionowej armii. Co prawda, pełne efekty tego programu osiągnięte będą dopiero w r. 1945, ale wpływ jego da się odczuć znacznie szybciej.

Niemcy, którzy już dziś bardzo niedobrze i bardzo nerwowo znoszą bombardowania swych miast — w ub. tygodniu bombardowali Anglicy głównie Hamburg i Stuttgart, nie mówiąc o nalotach na Holandię, Francję i Norwegię — muszą przygotować się na dalsze, znacznie poważniejsze ciosy.

Przed Rzeszą stanęło w całej jaskrawości zagadnienie, w jaki sposób nie dopuścić do zwarcia się kleszczy dokoła kontynentu, jak rozerwać zaczarowane koło ognia, które coraz wyraźniej rozwija się dokoła opanowanych przez Rzeszę obszarów? Czy mogą jednak Niemcy zaniedbać na pewien choćby czas front wschodni, by próbować uderzeń na zachodzie lub na południu, gdzie zaciekłe i niezmordowane uderzenia lotnicze na Malte nie dały jednak żadnego wyniku strategicznego? W Berlinie wiedzą niewątpliwie, że jeżeli sami nie ruszą na Rosję, ofensywę rozpoczną Sowiety. Nie darmo Stalin wzywał w rozkazie z dnia 1 maja do żołnierzy sowieckich, by odnieśli zwycięstwo już w roku 1942.

SPOTKANIE

(Władysławowi Broniewskiemu,
na pamiątkę spotkania w Kujbyszewie,
w październiku ub. roku)

Jaką drogą, drogą tułaczą,
Przyszłoś, słowo, by Polską zaszumieć?
Znów kwitną chabry, znów wierzby płaczą,
I szemrze prostych słów strumień.

One wbiły się w nas, niby ciernie,
Dręczyły nas, śniły się w nocy —
To Polska za nami szła wiernie,
Marznąc z nami śród śniegów północy.

Byli od nas szczęśliwsi, — ci, którzy
Mieli cię ciągle na wargach —
Ale my nie oddamy tej burzy,
Co targała cię, słowo, — i targa.

Tak, drodzy. Na skroni nam świecą
Srebrne nitki przedwczesnej siwizny...
I płyniemy po pieśni — po rzece,
Która niesie nas do Ojczyzny.

ANATOL STERN

DROGA

Płyniemy poprzez ocean,
Ocean łez i krwi wrzącej.
Płyniemy poprzez ocean,
A w górze świeci nam słońce.

Jednych z nas porwie wichr sławy,
Innym coś złego się zdarzy...
Lecz choć ocean jest krwawy,
Wciąż będzie słońce się jarzyć.

Aż przybędziemy nareszcie
Do swej Ojczyzny, tułacze.
Rzeknie nam tylko: „Jesteście..."
I przywitamy ją płaczem.

ANATOL STERN

WSPOMNIENIE O KAPITANIE DRZEWIECKIM

Wśród codziennych notatek o terrorze niemieckim, pojawiła się niedawno wiadomość o toczącym się w Bydgoszczy zbiorowym procesie 38 żołnierzy polskich, którzy rzekomo dokonali we wrześniu 1939 r. aktu przemocy na eskortowanych jeńcach.

Samotny pluton podsądnych stoi więc, jeżeli jeszcze stoi, na tym już nadmiernie krwią polską zlanym szańcu bydgoskim. Trwa w zaciętej obronie, której wynik da się łatwo przewidzieć. Nie wspiera ich czynu huk własnych dział, nie widzą nad głową własnych samolotów — jedynym krzyżem jaki ich oczekuje może być skromny krzyżyk cmentarny.

Głównym oskarżonym jest według prasy kpt. Władysław Drzewiecki. Łączą mnie z nim krótkie wspomnienia.

Było to w kwietniu 1940 r. Po nieudanej ucieczce zostałem przeniesiony do Oflagu VIII B, na południe od Wrocławia. Po rewizji i opisaniu nas w miasteczku zostaliśmy przesłani do Spitzbergu. Jest to szczyt górski za miastem, z fortem kamiennym, wybudowanym jeszcze przez Starego Fritza. Za pięciu odrutowanymi bramami, na maleńkim błotnistym podwórku, poznałem dawniej już tam przebywających 80 oficerów. Jednym z nich był kapitan Drzewiecki, jeden z b. redaktorów „Polski Zbrojnej". Bardzo był przez nas kochany ten skromny i mądry towarzysz.

Komendantem obozu był major niemiecki, którego nazwiska nie pamiętam, satrapa, którego jedynym pragnieniem było dokuczenie swoim pensjonariuszom. Dlatego nazywaliśmy go popularnie Grueltatą. Przybycie jego zawsze wywoływało niepokój w obozie. Tak było i tego pamiętnego popołudnia.

Grueltata przybył w towarzystwie kilku żołnierzy z „widelcami" oraz dwóch osobników cywilnych, których obecność nie wróżyła nic dobrego. Zarządził zbiórkę i po odebraniu raportu zaczął walić laską po swej drewnianej nodze (był inwalidą), co oznaczało szczególny paroksyzm wściekłości.

„Hpt. Drzewiecki — auftreten!"

Kapitan wyszedł twardym krokiem przed front.

„Kapitan Drzewiecki zamordował stu volksdeutschów. Za ten czyn zostaje w dniu dzisiejszym oddany pod sąd" — oznajmił Grueltata. Tu nastąpiła litania nienawistnych epitetów, po której uspokoiwszy się nieco dał znak laską.

Ceremonia nie trwała długo. Przed kapitanem stanął podoficer, z tyłu dwóch żołnierzy. Podoficer krzyknął „Marsch!" i cały pochód zniknął w bramie. Osłupieni patrzyliśmy na siebie.

Możemy sobie wyobrazić jakie cierpienia przeżyć musiał niewinny kapitan Drzewiecki, z góry zareklamowany, jako morderca stu volksdeutschów.

Niech chociaż myśl nasza pobiegnie ku Niemu i Jego Towarzyszom, samotnym na szańcu sali sądowej w Bydgoszczy. Serca nasze są z nimi. Pamiętamy i nie pozwolimy zapomnieć.

Por. F. P.

OSADNICTWO NIEMIECKIE NA ZACHODNICH ZIEMIACH POLSKICH

Przesiedlanie Niemców z krajów wschodnio-europejskich (Estonia, Łotwa, Besarabia, Bukowina) oraz z Wołynia, Małopolski, ziem nad Narwią (części wojew. warsz. i białost.) i z Lubelszczyzny do zachodnich ziem polskich, włączonych do Rzeszy pod nazwą „Wartheland", rozpoczęło się późną jesienią 1939, a zakończone zostało w końcu 1941 r. Odbywało się etapami, w miarę organizowania większych grup z danego kraju. Ogólna liczba przesiedlonych sięga bez mała 500.000. Najliczniej reprezentowany był stan chłopski, jednak zwłaszcza wśród grupy nadbałtyckiej uderzała wielka liczba mieszkańców miast.

O ile sądzić z samych głosów niemieckich, — w całej akcji przesiedleńczej zawiodła zupełnie właściwa Niemcom metodyczna organizacja: „Olbrzymią tę akcję należało przeprowadzić w możliwie najkrótszym czasie; ani dla transportu, ani dla przyjęcia w Rzeszy, ani dla samej kolonizacji nie poczyniono żadnych odpowiednich przygotowań". „Całe to przesiedlenie nie było dla osób zainteresowanych przyjemnym". „W poszczególnych grupach było wiele rodzin, które absolutnie nie chciały pogodzić się ze swym losem, a żale ich były usprawiedliwione". — Najgorszy rzekomo los przypadł w udziale grupie chronologicznie ostatniej — besarabsko-bukowińskiej: w dawnej ojczyźnie zamożni włościanie i gospodarze leśni, rościli oni pretensje do większych gospodarstw — 50 ha, tymczasem wszystkie lepsze gospodarstwa (zagrabione Polakom) były już obsadzone przez grupy poprzednie. Wypadło więc sięgnąć do ostatnich rezerw, a nawet częściowo usuwać synów chłopskich — volksdeutsch'ów i Niemców ze starej Rzeszy, byleby jakoś zaspokoić przesiedleńców.

Pod względem terytorialnym akcja przesiedleńczo-osadnicza wygląda, jak następuje:

Grupa bałtycka (ok. 90.000), jako chronologicznie pierwsza, rozmieszczona została po wszystkich powiatach rolnych „dzielnicy nad Wartą" oraz częściowo w dzielnicy (Gau) Gdańsk — Prusy Zachodnie (półn. zachodnie Mazowsze — powiaty nowo-przyłączone do Prus Wschodnich, część Suwalszczyzny i polskie Pomorze);

grupa Niemców z Wołynia, Małopolski, ziem nad Narwią (ok. 140.000) rozsiedlona została przeważnie po wschodnich powiatach „dzielnicy nad Wartą" czyli w łódzkiem;

grupa Niemców z Lubelszczyzny i Chełmszczyzny (ok. 31.000) rozmieszczona została w zachodnich powiatach dzielnicy nad Wartą, czyli w poznańskiem (tutaj przesiedlenie Niemców odbyło się w drodze prostej wymiany z Polakami, których przesiedlono do Lubelszczyzny);

grupa besarabsko-bukowińska (ok. 200.000), ostatnia w porządku chronologicznym, rozsiedlona została po całej „dzielnicy nad Wartą", dzielnicy Gdańsk—Prusy Zachodnie i we wschodniej części Górn. Śląska, gdzie się jeszcze dało.

Jak widać z powyższego, — wszystkie grupy zostały silnie z sobą pomieszane, rzekomo w celu zatarcia różnic pochodzeniowych; de facto — głównie z powodu braku organizacji, pośpiechu i przeciążenia.

(*„Muenchner N. Nachrichten" No.* 52/53
i „Ostdeutscher Beobachter")

FILMY OBOZOWE

Z powrotem do bazy

Księżyc wstaje teraz późno. Wieczory są ciemne i parne — powietrze przesycone za dnia słońcem, nocą oblewa wszystko gorącym oddechem. Nawet w Tel-Avivie nie znać morza: ginie w mgłach wieczoru „zakamuflowane“ tak dokładnie, że trudno się nawet domyślić jego obecności.

Black-out jest tak precyzyjny, że tylko tyle widać, ile się oświeci własną latarką. Na szczęście miałem takową i dobrnąłem wśród skomplikowanego labiryntu ulic i uliczek do miejsca, skąd odchodzi ostatni autobus do obozu. T.zw. autobus „ostateczny“ — o godzinie 10.30 w nocy.

Potężne pudło wozu szturmuje w ciemnościach liczna gromada „przepustkowców“.

— Nie pchaj się kolega, — to nie wesele u cioci Racheli.

— Cicho. Idź w pardes, jak ci tu niewygodnie.

Gdzieś w czeluści wystrzeliła butelka wody sodowej. Strumień ciepłego, perlistego płynu skropił obficie najbliższych sąsiadów spragnionego bez alkoholowego napoju.

— Koleżka coś za wiele „na browar“ chodził i teraz suszy pana — co?

— Iii... to ten śledzik cholerny u Grünspana, z cebulką, a nie „browar“ — bronił się właściciel wody sodowej, głosem słabym i nieprzekonywującym.

Wśród gwaru i pokrzykiwań jakiś gentleman przy blasku anemicznej latarki sprzedawał bilety. Oczywiście, nie wszyscy mogliśmy się pomieścić — wszyscy natomiast chcieli jechać. Daremnie szofer tłumaczył w kilku językach, nie wyłączając rosyjskiego, że za 15 minut pójdzie drugi autobus. Wszyscy chcieli jechać tym właśnie, pełni podejrzeń, że jest on z ostatnich ostatnim.

Po kilku bezowocnych próbach zamknięcia drzwi, wóz ruszył nareszcie w ciemną przestrzeń.

Nasi chłopcy — wiadomo, choćby ich było tylko trzech, jak kółka pod sobą poczują, natychmiast zabierają się do śpiewania. Takoż i tym razem z rogu ozwał się tenorem jakiś artysta z Łyczakowa. Równocześnie na dachu zaczęły się dziać dziwne rzeczy: tupania, biegania, przekleństwa dość soczyste, rzucane w ciemną noc. W pewnej chwili tenor przekrzyczał jednak wszystko. Gdy skończył swą piosenkę, posypały się pytania:

— To kolega ze Lwowa?

— No i jeszcze jak!

— I ja też ze Lwowa!

— Ja z pod Brzuchowic!

— A ja z Grodna!

— My z Wilna — śpiewnie zakrzyczeli po kresowemu trzej z kąta.

— Ja z pod Białegostoku!

— A ja z Katowic!

— No, a ja z Gazali! — warknął groźny, piwny bas. Ucichło.

Po chwili „ci z Wilna“ zaczęli naprzemian:

— Byliśmy pod Archangielskiem!

— Nad Białym Morzem — mrozy dochodziły tam do 40 stopni!

— W lecie jest tam dzień i w nocy, całkiem nocy nie ma!

— To wyście teraz przyjechali — co? — odezwał się po chwili z przyjaźnią bas „z pod Gazali“.

— Tak, tak, my dziś pierwszy raz na przepustce w Tel-Aviv.

Posypały się pytania i odpowiedzi. Potoczyły się nazwy miast i rzek od koła podbiegunowego niemal po równik. Licytacja przejść, parada przygód, wątki powieści, szkice dramatów, projekty filmowych scenariuszy.

Na 20 kilometrze za Tel-Avivem wzeszedł księżyc. Asfalt zajaśniał rtęcią. Patrzącym przed siebie w widnokrąg zdawało się, że nasz metaliczny gościniec zlewa się gdzieś w tajemniczych perspektywach nocy z drogą mleczną. Poezją i humorem szumiało nad wozem.

Jedyny z obecnych — kierowca autobusu nie odczuwał nastroju upalnej palestyńskiej nocy.

— Jak od 20 lat jeżdżę autobusami, tak pierwszy raz trafia mi się, że mam pasażerów na dachu.

— Uspokój się pan — starałem się kruszyć mu sumienie. — Jak od 20 lat jeździsz pan autobusami, toś takiego wojska jeszcze nie woził. Ci żołnierze przeszli i przejechali więcej kilometrów, niż zrobiły wszystkie palestyńskie autobusy od założenia Tel-Avivu.

— Uj... a skąd ci panowie są?

— Którzy?

— No, ci na dachu —

— Skąd...? z Tobruku — odparłem z przekonaniem i napewno się nie pomyliłem.

— Uj ta „fantazija“ u nich! — westchnął kierowca z podziwem i rezygnacją.

Mr.

Sprostowanie: W ostatnim (16-m) numerze naszego pisma przedostatnie zdanie artykułu p. t. „Testament Konstytucji“ powinno brzmieć: „Czeka nas w kraju etap inny, czeka nas praca nad rozwojem, postępem i unowocześnieniem naszego życia zbiorowego“. (*Red.*)

HUMOR ANGIELSKI

Szczyt uczciwości.

Na posterunek policji zgłosił się człowiek oddając pudełko z tuzinem świeżych jajek, które znalazł na ulicy.

Został on zatrzymany w celu poddania go badaniu psychiatrycznemu.

(„People's Journal")

Znużenie służbą.

Młoda służąca, zapytana dlaczego rzuca służbę, odpowiada, że zmęczona jest powtarzaniem całymi dniami tej samej formułki: „Yes, Madam", a nocami: „No, Sir".

(„World Digest")

Definicje.

Nudziarz: Człowiek, który zapytany o zdrowie opowie historię wszystkich swoich chorób.

Dyplomata: Człowiek, który pamięta o dniu urodzin kobiety, ale zapomina o roku jej urodzenia.

(„World Digest")

ANEGDOTY MATEMATYCZNE

Rozwiązanie zadania, zamieszczonego w numerze 16:

Samolot i Samochody. Rozwiązujący to zadanie gubią się zazwyczaj w bardzo skomplikowanych obliczeniach: gdzie samolot spotkał samochód jadącego z Poznania, gdzie następnie spotkał ten, który wyruszył z Warszawy. Tymczasem zadanie rozwiązuje się niesłychanie łatwo jeśli potrafimy umysł nasz przyzwyczaić do logicznego rozumowania. Skoro bowiem mamy ustalić, ile kilometrów przeleciał samolot, a latał on bez przerwy przez czas, którego potrzebowałyby samochody, jadące z szybkością 50 kilometrów na godzinę, na odbycie drogi długości 150 kilometrów, to jasnem jest, że przede wszystkim ustalamy czas latania samolotu, który wyniósł *trzy godziny,* bo tyle potrzebowały samochody, by się spotkać, a następnie znając szybkość poruszania się samolotu, która w zadaniu podana była na 200 kilometrów na godzinę, odpowiemy bez najmniejszego trudu, że samolot przeleciał 600 km.

JASTRZĘBSKIEGO
Józefa Bronisława z Bielska na Śląsku,
plutonowego-podchorążego 6 p. uł.,
studenta Uniwersytetu Warszawskiego,
poszukują rodzice.
Informacje przyjmuje
Redakcja „Ku Wolnej Polsce".



Kantyna polskich wojsk pancernych w Szkocji

Przybycie Naczelnego D-cy Wojsk Greckich do C. W. B. S.





Otwarcie Szkół Podchorążych

